



Mirosław Derecki

ŻYCIORYS NIE NA JEDNO ŻYCIE ROZMOWA Z IRENĄ SZYCHOWĄ

- Od trzydziestu kilku lat jesteś związana z lubelskim życiem kulturalnym; twoja obecność w kręgu tego wszystkiego, co się ciekawego i wartościowego dzieje w Lublinie, stała się wręcz przysłowiowa. Ogółowi może lepiej znany jest ten okres, gdy w latach 1956-1970, jeszcze jako Irena Szczepowska, byłaś dyrektorem Miejskiego, a następnie – Wojewódzkiego Domu Kultury na Zamku w Lublinie. Rodziła się tam wówczas najciekawsze inicjatywy kulturalne, gromadzili się najbardziej interesujący ludzie i oni także później, gdy rozproszyli się po kraju, ponieśli ze sobą pewien określony. „zamkowy” styl myślenia i charakterystyczne dla „tamtego” Zamku – podejście do pracy.

Myślę, że Zamek uczył przede wszystkim zaangażowania w to, co się robi, oraz otwartości na świat. I cieszę się, że ja także mam za sobą tę szkołę... Ale przecież okres „zamkowy” to tylko jeden z rozdziałów twojej działalności. Przedtem były lata pracy w bibliotece, w lubelskim Liceum Sztuk Plastycznych, w związkach zawodowych w Wydziale Kultury Prez. WRN. A po odejściu z Wojewódzkiego Domu Kultury – sześć lat pracy na kierowniczym stanowisku w lubelskim oddziale „Ruchu”, gdzie zajmowałaś się sprawami upowszechniania kultury.

Dzisiaj, choć nie pracujesz już „na etacie”, nadal działasz. Rada Mieszkańców na Starym Mieście, Komitet Przeciwalkoholowy, różne inicjatywy kulturalne, bardzo osobiste zaangażowanie się w pomoc ludziom, których los doświadcza... Irena, ty właściwie nie mogłabyś chyba żyć bez działania!

Kilka lat temu zostałaś wybrana Lublinianką Roku, a ja, gdybym mógł, nadałbym ci tytuł Lublinianki Czterdziestolecia... Powiedz z czego zrodziła się ta twoja społecznikowska pasja? I zdradź wreszcie tajemnicę dlaczego w 1947 roku znalazłaś się akurat w Lublinie, po przebyciu do niego jedną z najdłuższych i najbardziej „okrężnych” dróg. Z rodzinnego Wołynia, poprzez Kazachstan, Irak, Palestynę i dalej, wciąż jako żołnierz II Korpusu Polskiego, poprzez Italię a następnie Szkocję, aż wreszcie... polską Gdynię zjawiłaś się tu, w

wieku 22 lat i w stopniu sierżanta, dowódcy plutony kobiecej samochodowej kompanii transportowej...

- No dobrze, ale od czego zacząć? Może od tego, że zawsze były kłopoty z moją „sylwetką”... Kilku plastyków próbowało namalować mój portret, nie udało się. To, co przesłałam w życiu, wystarczyłoby na pięć życiorysów, trudno wszystko zmieścić w jednym artykule, czy wywiadzie. Kłopoty mieli moi rodzice z moją niezależną naturą, a nie mniejsze – zwierzchnicy; nie tylko w wojsku, ale i ci „z cywila”, już tutaj, w kraju...

- To jest taka typowa natura kobiety z dawnych Kresów?

- Czy ja wiem? Natomiast z całą pewnością to ja pochodzę z nietypowej rodziny. A w dodatku z nietypowego - wykształconego, zubożałego, kresowego ziemiaństwa. Mój ojciec, Wacław Szczepkowski, był inżynierem rolnikiem, w młodości ukończył słynny Instytut Rolny w Puławach. Matka, Janina z Mianowskich (stryjeczna wnuczka znanego działacza społecznego Józefa Mianowskiego; jego imię nosi jedna z ulic Warszawy, a jego popiersie znajduje się w Wilanowie), skończyła najpierw konserwatorium muzyczne w Kijowie, a następnie słynne kursy ogrodnicze u Hozera pod Warszawą. No i, zamiast rozglądać się za „szerokimi widokami” życiowymi, oboje rodzice zaczęli gospodarzyć na niewielkim majątku Sołwin w gminie Rożyszcze, gdzieś między Łuckiem a Kowlem. Ojciec cieszył się uznaniem okolicznych mieszkańców; m.in. dlatego, że doprowadził do powstania spółdzielczej mleczarni, krzewił wśród chłopów kulturę rolniczą. Jak w 1940 r. przystąpiono na naszych terenach do kolektywizacji, chłopcy zaproponowali, aby ojciec został przewodniczącym kołchozu... Ale to już czasy późniejsze.

Byłam najmłodszym z trojga dzieci. Najstarszy był brat, Jerzy; urodził się w 1915 r., potem przyszła w 1919 r. moja starsza siostra, Maria - późniejsza dziennikarka i literatka, znana ci przecież dobrze, Martula Szczepowska: no i wreszcie, w 1925 r. - ja. Rodzice uważali, że musimy od małego przyzwyczajać się do pracy. Jak miałam osiem lat umiałam już doić krowy, a w wieku lat dziewięciu - potrafiłam prowadzić traktor, naszego powolnego, dostojnie pykającego „Lanza”... A więc wychowywano nas w sposób raczej nietypowy dla dzieci z mojego kręgu społecznego, Co mi się później zresztą stokrotnie opłaciło. I wówczas, gdy jako kilkunastoletnia dziewczynka pasłam i dołłam kazachskie krowy, i na początku lat pięćdziesiątych, gdy jeden z moich lubelskich zwierzchników „od kultury”, chcąc mi dać tak zwaną „nauczkę” wysłał mnie na „pracę społeczną” przy żniwach w jednej z lubelskich spółdzielni produkcyjnych. Nie wiedział biedak, że sprawia mi największą przyjemność...

- Więc społecznikowską naturę wzięłaś po pradziadku Mianowskim?

- Przede wszystkim wyniosłam ją z atmosfery rodzimego domu. Ach, jeszcze kilka słów na temat nietypowości moich rodziców! Zdarzyła się kiedyś niezwykle komiczna sytuacja,

właśnie wynikająca z owej ich inności. Otóż moi rodzice nie zaliczali się do osób nadzwyczaj pobożnych. I to do tego stopnia, że - zajęci pracami gospodarskimi - przypomnieli sobie o konieczności ochrzczenia dzieci dopiero wówczas, gdy stało się to już zupełnie niezbędne ze względu na formalności związane z pójściem Jerzego i Maruty „do szkół” - jak się wówczas mówiło. W ten oto sposób ochrzczono „hurtem” całą naszą trójkę równocześnie. Jerzy miał wówczas lat trzynaście, Maruta - dziewięć, a ja trzy. I teraz następuje finał: otóż po ochrzczeniu mnie, podczas odbywającego się w domu okolicznościowego przyjęcia, podeszłam do księdza z kieliszkiem - wcale nie pustymi - i zaproponowałam wzorem „starszych osób”: „Księżu proboszczu, może się napijemy?”

- I...co?!

- Nno... nic takiego szczególnego: wyrosłam w przyszłości na działacza przeciwalkoholowego... Nawiasem mówiąc, byłam nieznośnym duchem w tej rodzinie. Gdy miałam kilka lat, obraziwszy się na matkę, postanowiłam opuścić dom na zawsze i pójść w świat. I mogło to się dla mnie fatalnie skończyć. Zabrnęłam, bowiem tak daleko w olbrzymi, wielohektarowy łąn pszenicy, i w końcu tak opadłam z sił, że gdyby nasza kotka - niczym najlepszy pies myśliwski – nie zaprowadziła matki prosto do miejsca, gdzie się znajdowałam, może bym tam umarła z głodu i z wyczerpania. Od tego czasu kocham koty i kot to dla mnie Bardzo Ważna Osoba.

Jeszcze ci opowiem o perypetiach związanych z grą w karty. Otóż w związku z wyjazdem Jerzego do gimnazjum nasza rodzinna „czwórka brydżowa” została zdekompletowana. No więc rodzice orzekli, że tylko moja osoba może zażegnać fatalną sytuację. Nauczono mnie zasad tej pięknej, skądinąd, gry i odtąd grywaliśmy w Sołwinie wieczorami przy jednym stole: ojciec, matka, Maruta i Ja. Traktowałam to, jako rzecz normalną, więc nie mogłam zrozumieć reakcji mojej wychowawczynie, siostry zakonnej w klasztornej szkole u Niepokalanek w Maciejowie, kiedy zapytana: co robiłam podczas ferii świątecznych w rodzinnym domu, oświadczyłam szczerze (a miałam wówczas dwanaście lat): „Jak żeśmy w Trzech Króli siedli do brydża o szóstej po południu, to wstaliśmy od kart - o czwartej rano”. Nawiasem mówiąc, Niepokalanki to była tylko jedna z ośmiu szkół podstawowych, przez jakie „przewinęłam się” ze względu na moją „nieprzeciętną” osobowość...

- Opowiedz coś jeszcze o stronach rodzinnych.

- Sołwin, Rożyszcze, to był zaczarowany świat... Już dzisiaj takich miejsc, o takiej atmosferze, osadzonych w takim „klimacie”, nie znajdzie się ze świecą...

Nasze „gminne” miasteczko Rożyszcze było jakby wyjęte z obrazów Chagalla, jak - z opowiadań Bruno Schulza. Zagubione wśród wołyńskich czarnaziemów, przysiadłe w pobliżu

leniwie płynącego Styru, nad którym w czasie I wojny światowej toczyły się zacięte walki - i potem długo jaszcząca cała okolica poryta była okopami - miało Rożyszcze trzy i pół tysiąca mieszkańców, w tym osiemdziesiąt procent Żydów. W czasie wiosennych roztopów na głównej ulicy konie grzęzły po brzuchy. A nad drzwiami sklepików, mieszczących się w starych, drewnianych domach, widniały niezapomniane szyldy: „Golenie i szczyżenie”, albo: „Goździe i inne delikatesy”... Na każdym kontynencie - a „zaliczyłam” ich w swoim życiu klika - musiałam prędzej czy później spotkać kogoś z Rożyszcz. Najpiękniejsze z owych spotkań było w 1942 r. na granicy Palestyny. Miałam wówczas siedemnaście lat, na sobie mundur z podoficerskimi dystynkcjami; siedziałam samotnie za kierownicą wojskowego samochodu. Strasznie mi się chciało pić, więc kiedy zobaczyłam kiosk z napojami, taki całkiem samotny kiosk stojący przy drodze, zatrzymałam wóz, wysiadłam i zaczynam coś dukać, trochę po francusku, trochę po angielsku. A sprzedawca odzywa się do mnie w rodzinnym języku; choć z bardzo, bardzo, charakterystycznym akcentem: „Co się pani sili na obcy język, pani też z tej naszej kochanej Polski?”. Okazało się, że wujek tego człowieka był rabinem w Rożyszczach. I on sam też przyjechał z Polski. Miał w domu ogromną bibliotekę; pięć tysięcy polskich książek, które ze sobą przywozi ze „starego kraju”, a także sprowadzał je z Polski w latach trzydziestych. Potem, gdy zaprzyjaźniliśmy się, korzystałam z owej biblioteki; tam zaczęłam czytać po raz pierwszy w życiu książki Boya...

- Maruta też była w wojsku?

- Nie. Maruta, gdy zaczęła się mobilizacja, była w trakcie szukania pracy w jednym z kazachskich miast. I wtedy otworzyła się możliwość prowadzenia radiowych audycji dla Polaków rozsianych po Związku Radzieckim. Maruta, która już przed wojną zaczęła studiować dziennikarstwo w Warszawie, zajęła się tu radiową pracą dziennikarską. A mnie, niespełna siedemnastoletniej, matka powiedziała: „Idź do wojska, to twój obowiązek Polki. Co dalej - to się zobaczy, w końcu się jakoś przecież wszyscy spotkamy”. Spotkałyśmy się ostatecznie po pięciu latach; tyle że ja przybyłam do Polski z Zachodu, a one ze Wschodu. Ojciec pozostał na cmentarzu w Kazachstanie. Jerzy - o czym dowiedziałyśmy się dopiero po wojnie - został zamordowany w jenieckim obozie dla oficerów. Był prawnikiem i ostatnim kawalerzystą w naszej rodzinie.

- Jak tego słucham, to mi się przypomina „Wielbłąd w stepie” Jerzego Krzysztonia.

- Coś w tym jest. No, zresztą oboje, w bardzo młodych latach, poznaliśmy Kazachstan. A potem, po wojnie, spotkaliśmy się na tym samym roku anglistyki, na KUL-u w Lublinie. I znowu, w kilkadziesiąt lat później, gdy już ukazał się „Wielbłąd” i Jurek przyjechał na wieczór autorski do Lublina, brał mnie „na świadka”, że to, co pisał w tej książce, było prawdą. I również, że dla nas, wyrostków, Kazachstan potrafił być także piękny, gdy przyszła

wiosna i lato, gdy stepy pokryły się kwiatami... Jeszcze pamiętam, że kazachskie krowy są przy dojeniu „twardsze” od wołyńskich i że mają bardziej tłuste mleko. I to także: jak siedzimy zagubieni wśród tych stepów kazachskich, całą naszą rodziną „brydżową czwórka”, i, oczywiście, gramy w karty przywiezione z Sołowina.

- Jak z twoją „rogatą” naturą znosi się wojsko?

- Może to dziwne, ale zupełnie nieźle. I chyba tutaj warto powrócić do twojego pytania, kiedy się objawiły moje zainteresowania społecznikowskie? Otóż - właśnie w wojsku i może w sposób trochę... „okrężny”. Najpierw - zanim trafiłam do 317 kompanii transportowej Pomocniczej Służby Kobiet (tak brzmiała oficjalna nazwa, bo popularnie to nas nazywano „pestkami” albo „drajwerkami”, od angielskiego słowa: „driver” - kierowca) - służyłam w kompanii wartowniczej i tam miałam bardzo niedobrą komendantkę plutonu. Ona powiedziała kiedyś, że jej kaktus na dłoni wyrośnie, zanim „takie nic”, jak ja, zdoła zrobić kurs kierowców samochodowych. To mnie zdopingowało. Coś się we mnie przełamało: powiedziałam sobie, że ja nie tylko skończę kurs, nie tylko dostanę się do kompanii transportowej, nie tylko zostanę dowódcą plutonu, jak ona, ale jeszcze potrafię ten pluton zupełnie inaczej, lepiej, prowadzić. I że na pewno więcej potrafię zrobić dobrego, nie pędząc rozkazami dziewczyny do roboty, ale gdy wytworzy się taka atmosfera w pododdziale, kiedy i ja i moje podkomendne będziemy razem służyć wspólnej, nadrzędnej sprawie. I że moim celem jest przekonać je do tego. A nie straszyć karami i „stawiaj na bacność” przy byle okazji. Właśnie chyba na tym zasadza się, według mnie, społecznikostwo: w umiejętny i mądry sposób służyć jakiemuś ważnemu, nadrzędnemu celowi.

- A dlaczego prosto z wojska trafiłaś na uniwersytet w Lublinie? Przecież po zakończeniu wojny zadomowiłaś się już w Szkocji; co ty w ogóle miałaś wspólnego właśnie z Lublinem?

- Bardzo dużo. Przede wszystkim tutaj przed wojną mieszkała moja babcia, Maria Mianowska. Miała, na rogu ulicy Wieniawskiej i Króla Leszczyńskiego, dom. Często odwiedzaliśmy ją, przyjeżdżając z Wołynia, tu mieszkał Jerzy, kiedy chodził w Lublinie do gimnazjum, a następnie na prawo, na KUL. Tu, u babci, mieszkała Maruta, gdy uczęszczała, do lubelskiego żeńskiego gimnazjum Arciszowej. I wreszcie ja także, w latach szkolnych, krótko „zatrąciłam” o lubelską szkołę i o „stancję” w domu babci Mianowskiej. W Lublinie, będąc, wtedy w drugiej klasie, zabłądziłam po raz pierwszy, i chyba ostatni, w Saskim Ogrodzie. A idąc na mszę do kościoła Garnizonowego, zostałam na Alejach Racławickich przejechana przez samochód, co było wypadkiem tym bardziej niezwykłym, że samochodów w Lublinie było wówczas bardzo mało. Wtedy właśnie, jako „bohaterka” wypadku, dostałam się po raz pierwszy w życiu na łamy lubelskiej prasy. To był rok 1933. A w

trzydzieści lat później - wyobraź sobie - spaceruję z przyjaciółką po londyńskim Hyde Parku, i nagle pojawia mi się w pamięci Saski Ogród. I mówię do niej: „Oho, lubelski Ogród Saski jest piękniejszy i rozleglejszy od tego tutaj...” No, jak wróciłam do Lublina, szybko skorygowałam swoje wyobrażenia.

- O parkach?

- Także i o parkach... Ale nie o to mi chodzi. Chciałam ci po prostu powiedzieć, że to przypomnienie lubelskiego parku tam, w Londynie, może naszło mnie z powodu jakiegoś przecucia. Bo mama razem z Maruta znalazły się, po powrocie ze Związku Radzieckiego, właśnie w Lublinie o wysłana przez nie z Lublina kartka pocztowa odnalazła mnie w Szkocji. I to była, nawiasem mówiąc, pierwsza kartka, jaką dostałam od nich od czasu wstąpienia do wojska. Pisały, żebym jak najszybciej wracała do kraju. W ten oto sposób 31 maja 1947 r. wysiadłam w Gdyni ze statku, który przyplłynął z Anglii, a na pierwszym oficjalnym dokumencie, jaki otrzymałam w biurze imigracyjnym, napisano m.in. „Udaje się do Lublina”. Poszłam na studia na anglistykę. Maruta – studiowała polonistykę. Była ukochaną studentką profesora Kleinera...

Domu babci już nie ma. Na jego miejscu wznosi się wielopiętrowy biurowiec, wybudowany przed kilku laty. Ale został jeszcze kasztan rosnący na rogu Wieniawskiej i Króla Leszczyńskiego, przed frontem wieżowca. Ten kasztan ma równo pięćdziesiąt trzy lata. Wiem to stąd, że posadziła go w 1934 r. moja siostra Maruta, piętnastoletnia wówczas uczennica gimnazjum Arciszowej. Maruty już nie ma. Umarła w 1985 r. Ten kasztan to jest mój najpiękniejszy, wymierny, wciąż żywy związek z Lublinem mojego dzieciństwa.

- Pierwszą twoją lubelską pracą...

- Była Biblioteka Lubelskiej Spółdzielni Spożywców, mieszcząca się przy ulicy Kapucyńskiej. Dzisiejsza - Osterwy. Był to rok 1948. Moją zwierzchniczką była pani Wanda Papiewska. Wspaniała postać, oddana, prawdziwa działaczka społeczna. Siostra Jana Hempla, który zresztą był kiedyś założycielem tej właśnie biblioteki. Wanda Papiewska była dla mnie i zawsze pozostanie, postacią na miarę Stefanii Sempołowskiej. To właśnie dopiero ona nauczyła mnie naprawdę, co to znaczy być społecznikiem. Jej to przede wszystkim zawdzięczam wszystko, co później robiłam, i chyba, nadal robię...

- A w jaki sposób „trafiłaś” w 1956 r. na Zamek, na stanowisko dyrektora Lubelskiego Domu Kultury?

- A, tu już „wymyślili” mnie pospołu: Wisia Grossman (dzisiaj już nieżyjąca), w owych czasach aktorka Teatru im. Osterwy, bardzo oddana sprawom kultury działaczka społeczna, a także przez pewien czas kierownik Wojewódzkiego Wydziału Kultury; również redaktor

Kazimierz Spólnicki, w niedalekiej przyszłości „szalejący dziennikarz” powstałego w 1957 r. „Kuriera Lubelskiego”. Jakoś tam przekonali, kogo trzeba, że „nadają się”. No - i się stało!

- I oto wróciliśmy do punktu wyjścia, do początków LDK na Zamku, gdzie zaczęło się „samo dobre” popaździernikowego lubelskiego życia kulturalnego. A teraz, na zakończenie, powiedz: co cię najbardziej fascynuje w życiu?

- Pokonywanie i trudności. Fascynuje mnie służenie jakiemuś celowi. Nie: bycie kimś, posiadanie czegoś, nie: rządzenie. Uważam, że - jak powiada Gałczyński w wierszu „Mali pomocnicy”, który bardzo lubię - i Kopernik, który „porusza Ziemię”, i jego krawiec, który „nitkę nawleka”, razem, każdy na swój sposób, służą jakiejś wielkiej idei, jakiemuś celowi. W tych słowach upatruję motto swojego życia i swego działania: ważną rzeczą jest, kiedy wspólnie, i ci więksi, i ci mniejsi, robimy razem coś dobrego i ważnego.

- Czy wiele twoich życiowych marzeń się spełniło?

- Spełniły się, jak dotąd, wszystkie moje ważne marzenia. Choć w każdym z tych spełnień tkwi zawsze pewna „pułapka”.

W dzieciństwie marzyłam, aby zobaczyć dalekie kraje. Marzenie to spełniło się, ale za straszną cenę: ogromnej nostalgii za krajem.

W wojsku marzyłam, żeby mieć pod swoją komendą pluton. I miałam go. Ale (jak mawiała przyjaciółka mojej matki: „Jestem przeciwna dojeniu cieląt!”) dostałam dowództwo w swoje ręce na pewno zbyt wcześnie: zbyt mało, mimo wszystko, byłam do tego przygotowana.

W dużo późniejszych latach, już lubelskich, miałam wielkie marzenie: mieszkać na Starym Mieście w Lublinie. I to się też spełniło. A jaka „pułapka” wiąże się z tym ostatnim marzeniem? A taka, że mam pełną świadomość, iż nie dożyję radości obejrzenia Starego Miasta w pełni już odbudowanego...

I jeszcze chcę ci powiedzieć, już na sam koniec naszej rozmowy: zastanawiając się nad swoim życiem, nad tym wszystkim, co mnie dobrego i złego spotkało, doszłam do wniosku, że każdy ludzki los posiada swoją określoną konstrukcję. (To znaczy na przykład, że coś, co mnie się przydarzy, nie mogłoby przydarzyć się np. akurat tobie.) I niezmiernie ważną rzeczą jest, żeby rozumieć konstrukcję swojego losu. Ja na przykład uważam, że konstrukcją mojego losu jest: „być krótko, i iść dalej”. Iść naprzód i nie upierać się „na siłę” przy sprawach, które nie są dla człowieka najistotniejsze.

Pierwodruk: „Kamena”, 1987, nr 6, s. 4-5.